NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 24·70. Półrocznie K 49·40. Rocznie K 98·80. W Austryi: Kwartalnie K 24·70. Półrocznie K 49·40. Rocznie K 98·80.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonparellowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 2 kor.

Rok XVI. Kraków, 4 października 1919. Nr. 40

Zjazd T. S. L. w Krakowie.



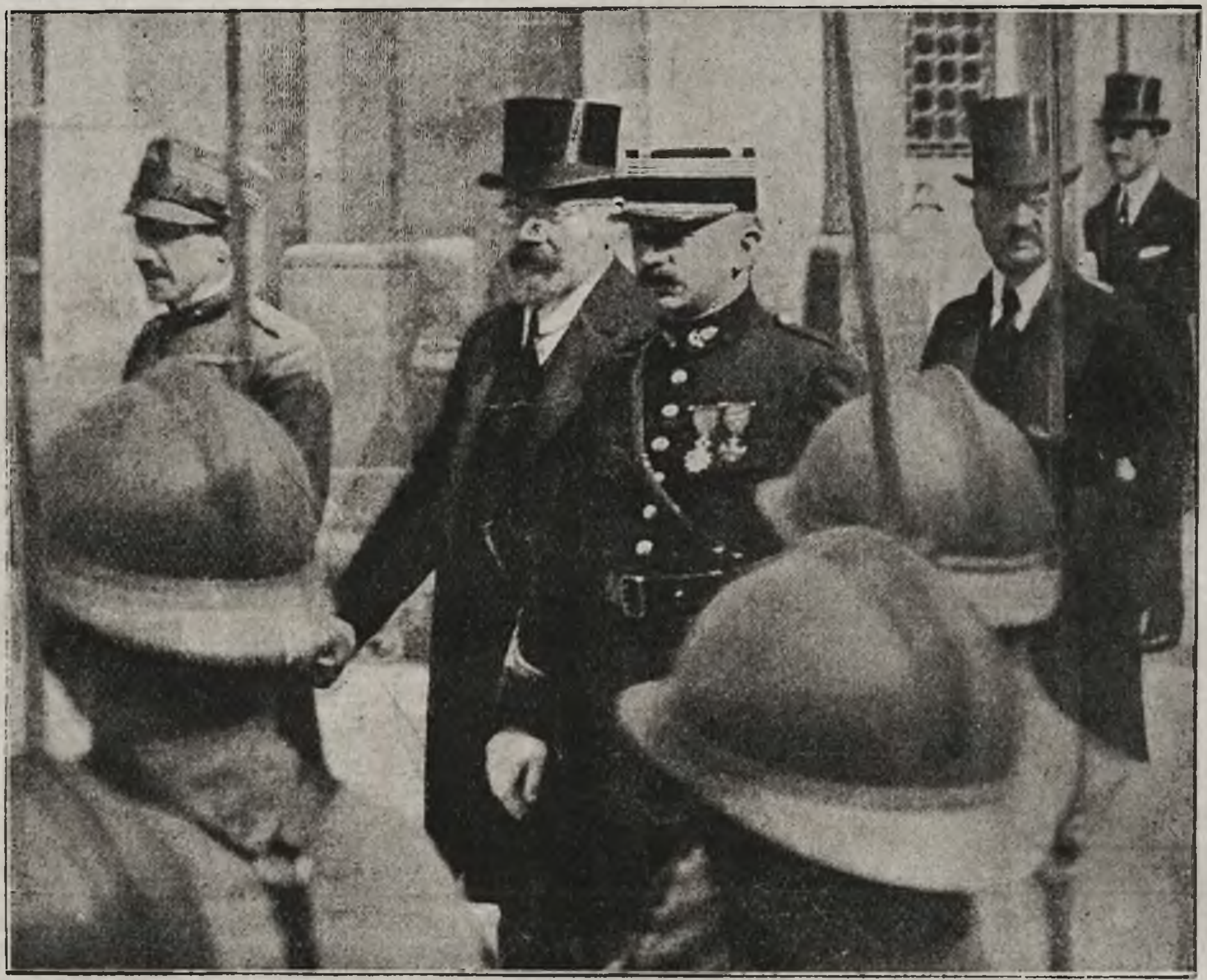
Uczestnicy Zjazdu T. S. L. przed gmachem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Treść numeru: Zawarcie pokoju z Austryą. — Zjazd biskupów w Gnieźnie. — S. p. Bolesław Ulanowski. — Pierwszy okręt polski. — Ze sceny i estrady. — Rocznica pierwszego zwycięstwa nad Marną. — Praca w obronie kresów i t. d.

Zjazd T. S. L. w Krakowie.

W ubiegłą niedzielę i poniedziałek odbyły się w Krakowie obrady Zjazdu T. S. L. Zainteresowanie społeczeństwa temi obradami było wielkie. Dokąd bowiem sięgnie T. S. L. tam sięga naród polski, tam Polska słupy swe graniczne wbija. Sprawozdanie z działalności T. S. L. za ubiegły rok daje dokładny obraz nader wielkiego rozwoju tej instytucyi, mimo, że praca była tamowaną przeszkodami politycznemi. Także ze sprawozdania finansowego widać, że T. S. L. staje do pracy w wolnej Ojczyźnie, jako zasobna organizacya. Oto, z czem stanęło przed zjazdem i przed społeczeństwem T. S. L. Obradowano przez dwa dni nad wskazówkami, wedle których ma działać T. S. L. w przyszłości. Państwo powinno zdjąć w zupełności z Towarzystwa ciężar utrzymywania szkół kresowych, a Towarzystwo poświęci się jedynie szerzeniu oświaty pozaszkolnej. Dziś, kiedy w wolnej Ojczyźnie lud polski stał się pełnym i odpowiedzialnym obywatelem, kiedy w swe ręce ujął losy Rzeczypospolitej, dziś, więcej niż kiedykolwiek, o oświatę tego ludu dbać należy. Umysły trzeba oświecać, uczucia rozbudzać i uszlachetniać, wolę umacniać. Oto zadania jakie ma podjąć T. S. L., łącznie z pokrewnemi sobie instytucyami i niech pługiem oświaty przeorze ziemię polską wzdłuż wszerz, niech wypleni wszelkie chwasty z serc i umysłów, a ziarna obfite plony niech nasieje. Oto zadania, jakie czekają pracowników T. S. L. Po zjeździe, jaki odbyli w Krakowie, niech poniosą oświatę po całej Polsce, a my życzymy im w tem przedsięwzięciu „Szczęść Boże".

W końcu zaznaczyć należy, że Zjazd był imponujący, gdyż zjawiło się na nim około 300 delegatów. Byli także obecni przedstawiciele władz, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademii Umiejętności, reprezentant ministerstwa oświaty, liczni posłowie oraz reprezentanci Rady miasta Krakowa. W niedzielę w salach Muzeum narodowego w Sukiennicach odbył się raut na cześć gości, urządzony staraniem prezydenta miasta Krakowa, Federowicza.



Zawarcie pokoju z Austryą: Kanclerz Renner z szefem wojskowej misyi francuskiej Bourgeois i oficerem włoskim opuszczają zamek po podpisaniu traktatu.

Zawarcie pokoju z Austryą.

Po Niemczech przyszła kolej na Austryę. We środę 10. września reprezentanci państw sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych, a ze strony Austryi kanclerz dr. Renner, położyli swe podpisy na traktacie, który był równocześnie aktem zerwania łączności ze starymi związkowymi Niemcami. Ta Austrya jeszcze raz uczuła, że w całej wojnie obok swego koalianta była tylko błyszczącem zerem, małego znaczenia ozdobą. Jeżeli ceremoniał wersalski był tylko o małej wystawności aktem, jakkolwiek oprawnym w bogate ramy, to cóż mówić o Saint Germain. Cała wytworność i grzeczność kanclerza nie potrafiła rozświetlić suchości i bezduszności towarzyszącej atmosfery. Dr. Renner w słowach pełnych dobrego tonu i uprzejmości dziękował komendantowi Burgeois wojskowemu szefowi misyi francuskiej przy delegacyi austryackiej, za jego przychylne zachowanie się w odniesieniu do dotychczasowych nieprzyjaciół, następnie władzom municypalnym i mieszkańcom Saint-Germain. Ale daremna elegancya.

O godzinie 10 rano kanclerz, któremu towarzyszyło dwóch współpracowników, weszli do sali Muzeum w Saint Germain. Obecnych cechował nastrój sztywny, skupiony i spokojny, bez najmniejszych objawów wzruszenia. Po przywitaniu dr. Renner stanął obok Clemenceau, który spokojnie wszedł jakie 10 minut przedtem i dał znak, aby usiąść, sam zająwszy najdalej na lewo wysunięte krzesło z palisadowego drzewa, okrytego czerwonym aksamitem, podobne do wszystkich ustawionych w okół w for-



Zawarcie pokoju z Austryą: Podpisanie traktatu w Saint-Germain. (X) Prezydent Paderewski.

mie podwójnych haków. Clemenceau wygłosił krótką mowę, mniej więcej dosłowną reprodukcyę przemowy wersalskiej z temsamem zakończeniem „zapraszam panów! Podpiszcie!“ Dr. Renner wstał, zbliżył się do biurka w stylu Ludwika XV., na którym leżał wielki foliał opatrzony pieczęciami pełnomocników, usiadł na fotelu trzcinowym, przeznaczonym specyalnie dla podpisujących i podniósłszy okulary na czoło, wziął pierwsze z brzegu pióro i położył swój podpis, a potem przeszedł do innych druków za opatrzonych, albo niezaopatrzonych pieczęciami, które podpisywał w podobny sposób. Większość delegatów musiała także czternaście razy kłaść swój podpis na traktacie, na dołączonych protokołach, konwencyach kolonialnych i t. d., podczas, gdy w sali



Zjazd biskupów w Gnieźnie: Książęta kościoła z całej Polski na zjeździe w Gnieźnie



S. p. Bolesław Ulanowski.



Zjazd biskupów w Gnieźnie: Uroczyste wejście biskupów polskich do Gniezna

zwierciadlanej tylko trzy dokumenty zawierały wszystkie klauzule. Gdy kanclerz zajął z powrotem swoje miejsce, przed stołami umieszczonymi w środku czworoboku rozpoczęła się defilada bez końca pełnomocników. Nie ma Wilsona, ani Lloyd George'a. Polk White i gen. Bliss podpisali za Stany Zjednoczone, Balfour, M. Bonar Law, Lord Millner, M. Barnes za Anglię. Nie podpisali traktatu ani delegaci rumuńscy, ani Jugosławii, podobnie jak chińscy na traktacie wersalskim: miejsca ich pozostały białe.

O godzinie 11 minut 15 akt zakończył się. Clemenceau znowu powstał oparty lewą ręką w szarą rękawiczkę odzianą na wyrzeźbieniach z kości słoniowej, któremi przez cały czas nie przestał się bawić, rozmawiając z sąsiadami i rzekł spokojnym głosem: „Panowie, wszystkie podpisy dopełnione, posiedzenie skończone“.

Nie słychać żadnej muzyki, bicia w bębny, huku armat, nic. — Zdaje się, że mieszkańcy z Saint Germain czują żal, że ich ominęła wystawna parada.

W przejściu przez dziedziniec zamku, gdzie dragoni, oficerowie z dobytemi szablami, kawalerzyści z karabinami w ręku robili honory wszystkim delegatom, nie wyłączając austryackich, plenipotenci wsiedli do swoich powozów, stojących między rowem a kościołem i automobili, tym razem bez chorągiewek, oznaczonych jedynie zwykłymi kokardkami, malowanemi na krawędziach. W szybkiej jeździe delegatów trudno rozpoznać. Wyróżnia się jedynie automobil ministra wojny zaopatrzony chorągiewką, zakończoną białem suknem. Oklaski obok stojących tłumów nie miały końca. I to był ostatni epizod wojenny Austryi.



Pierwszy okręt polski: „Polonia“, okręt pasażerski polski, kursujący na Czarnem morzu.

S. p. Bolesław Ulanowski.

Nauka polska zubożała w ostatnich latach znacznymi ubytkami, poniosła znów dotkliwą stratę. Umarł prof. Bolesław Ulanowski, jeden z najznakomitszych polskich prawników teoretycznych i prawdziwa ozdoba Uniwersytetu Jagiellońskiego. S. p. prof. Ulanowski urodził się w Brześciu Litewskim w 1860 roku. Kończył szkoły w Krakowie, gdzie też w roku 1886 habilitował się na tutejszym uniwersytecie. W trzy lata później obejmuje katedrę prawa polskiego i kanonicznego. W roku 1903 obejmuje po Stanisławie Smolce urząd generalnego sekretarza Akademii Umiejętności i piastuje go do śmierci. Cały szereg prac naukowych, stanowiących źródła do historyi i prawa polskiego, publikował w „Ateneum“, „Rozprawach“ i Archiwum Komisyi historycznej Akademii Umiejętności.

Zmarły był także członkiem praskiej Akademii Umiejętności. Pogrzeb odbył się przy tłumnym udziale publiczności, zwłaszcza przedstawicieli świata naukowego. — Cześć Jego pamięci!

Zjazd polskiego związku służby państwowej.

Przed kilku dniami odbył się we Lwowie zjazd służby państwowej z całej Małopolski, przy bardzo wielkiej liczbie uczestników. Zjazd miał na celu omówienie całego szeregu ważnych kwestyi związanych z warunkami, jakie wytworzyły się przy teraźniejszych stosunkach; równocześnie dołożono starania celem silnego zorganizowania się. Podczas zjazdu odbyło się również uroczyste poświęcenie sztandaru związkowego.



Zjazd polskiego związku służby państwowej: Uczestnicy zjazdu (F·t. Münz, Lwów)

Pierwszy okręt polski.

Na Czarnem morzu pruje wzburzone fale od kilku tygodni polski okręt pasażerski, ktorego flaga o barwach polskich powiewa majestatycznie nad spienionemi falami morza, jako widomy znak, że Polska zmartwychwstała. Niedawno przewiózł ów statek 800 uchodźców polskich z Rosyi, zgromadzonych w Sebastopolu, do Gałaczu w Rumunii. Okręt otrzymał chrzest polski w Konstantynopolu i przybrał nazwisko: „Polonia“. „Polonia“ przedstawia się nader okazale, a urządzona jest wedle najnowszych wymogów i posiada maszyny pospieszne. Okręt obsługują marynarze polacy, to też miło jest słuchać pasażerom Polakom mowę polską i komendę dawaną przez oficerów Polaków załodze statku. Podajemy illustracyę „Polonii“, która po przywiezieniu uchodźców polskich stanęła na kotwicy w Gałaczu.

Zjazd biskupów w Gnieźnie.

W ostatnich dniach sierpnia odbył się w Gnieźnie zjazd biskupów, który miał na celu omówienie szereg ważnych kwestyi wypływających na bieżący program kościoła w powstałej do samoistnego życia Polsce. Zastanawiano się nad zaprowadzeniem jednolitości pod względem świąt, postów i obrzędów. Zajmowano się sprawami seminaryów duchownych, polepszeniem bytu organistów, sług kościelnych duszpasterstwa wojskowego i nauki religii w szkołach, uposażenie duchowieństwa, a w łącznośc. z tem prawem poboru za czynności duchowne, Wreszcie rozważono sprawę hospicyum i kolegium polskiego w Rzymie. Podczas zjazdu przybyła deputacya ze Śląska, aby przedstawić swoje życzenia w stosunku do kościoła. Gdy deputacya ta wspomniała jakie znaczenie dla Śląska ma Częstochowa, oświadczył biskup kujawsko kaliski, w którego dyecezyi leży klasztor częstochowski, że chętnie odstąpi Śląskowi Częstochowę, gdy przyjdzie do utworzenia na Śląsku osobnej dyecezyi Z Peplina za powiedział się na zjazd do Gniezna tamtejszy biskup sufragan w zastępstwie biskupa chełmińskiego, jednakże w ostatniej chwili niespodziewane przeszkody nie pozwoliły mu przyjechać. Nastrój zjazdu był nadzwyczaj podniosły.

Wpław przez Sekwanę.

W sierpniu, bieżącego roku, odbyła się wielka uroczystość pływacka w Paryżu, podczas której urządzono „wyścig pierwszeństwa“ w poprzek Paryża na Sekwanie. Uczestnicy wyścigu mieli za zadanie przepłynąć Sekwanę w poprzek Paryża. Przeszkody były wielkie, gdyż uczestnicy wyścigu musieli płynąć po pod 30 mostami, koło ich filarów, o które rozbijają się fale rzeki, wytwarzając silne prądy. Do wyścigu zgłosiło się kilkunastu zawodowych, światowej sławy sportowców, między nimi także kilka kobiet, które postanowiły walczyć o palmę pierwszeństwa z mężczyznami. Wyścig się udał znakomicie, bo prawie wszyscy współzawodnicy przypłynęli do mety bez wypadku. Zwycięscą był Billington, Anglik, który drogę pełną przeszkód i nader niebezpieczną, przebył w 1 godzinie i 12 minutach. Drugą była panna Zuzanna Wurtz, silnie zbudowana i mająca sławę doskonałej pływaczki. Jestto pierwsza kobieta, która wyszła zwycięsko w tego rodzaju wyścigu. Tłumy Paryżan zebrane na brzegach Sekwany, oklaskując i obsypując kwiatami, witały zwycięsców, tego niezwykłego wyścigu.

Wielkie zawody pływackie w Paryżu świadczą o wstępowaniu na forum gwarnego i kipiącego życiem miasta dawnej swobody i ruchliwości, dawnej beztroski idącej w parze z wielkiem temperamentem.



Wpław przez Sekwanę: Pierwsza z kobiet, Zuzanna Wurtz, która przepłynęła Sekwanę.

Tempo przedwojennego stanu rozpływa się już coraz szerzej, obejmując najrozmaitsze gałęzie, które wojna stłumiła. To, co dotychczas tlało, albo zagasło, powoli odżywa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Czytelnikowi z Krakowa. Z powodu ciężkiej słabości autora byliśmy zmuszeni przerwać druk powieści „Jak kruki“. O ile się dowiadujemy, w niedługim już czasie ma wrócić do Krakowa jako rekonwalescent, niezawodnie też zaspokoi wówczas uzasadnioną ciekawość P. T. Czytelników. Prosimy zatem o cierpliwość.



Kandydaci ubiegający się o nagrodę.

Wpław przez Sekwanę:



Zwycięsca Anglik, Billing.

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

20

Nadszedł koniec, dowody były tak obciążające! Słyszano, jak między nim a zabitą kobietą doszło do kłótni, w chwilę potem znaleziono jej trupa z sztyletem Jerzego w piersi, a on sam uciekł, jakby ścigany furyami. Obrońca zrezygnował z obrony. Nie miał już nic do dodania w obronie swego klienta. Po pięciominutowej naradzie trybunał powrócił i wydał wyrok. Brzmiał on „winien". Skazano Jerzego Feutona na śmierć i to w ten sposób, że nie było nadziei ułaskawienia.

ROZDZIAŁ XXII.

Dr. Fitzgerald wzbudza sensacyę.

Po usiłowanej kradzieży w „ogrodzie Wery" trzymano dr. Fitzgeralda tydzień w więzieniu śledczem, policya spodziewała się bowiem, że uda jej się lada dzień złapać także jego wspólnika. To się jednak nie stało i trzeba było wreszcie przystąpić do przesłuchania aresztowanego.

Rozprawa rozpoczęła się późnym wieczorem, kiedy w smutnej, ponurej sali zapalono już lampy gazowe. Miejsce przeznaczone dla publiczności było zapełnione po brzegi. Sprawa była sensacyą, gdyż włamania dokonano w domu osławionym już historyą morderstwa przy Andley Street. Przed salą tłoczyły się tłumy, które oczekiwały na możność dostania się do środka.

W ciemnym kącie, gdzie zebrały się szumowiny społeczeństwa, aby rozkoszować się widokiem skazańców, siedział jakiś człowiek z czarną brodą o przenikliwych oczach i błyszczących zębach. Cały dzień wytrwał, czekając na tę ostatnią rozprawę. Kiedy ją wreszcie wywołano i Fitzgerald zjawił się na ławie oskarżonych, pochylił się naprzód, z całą uwagą słuchając tego, co mówiono.

Oskarżony nie był ubrany w swój czarny tużurek, który nadawał mu pozory gentlemana. Miał na sobie krótką kurtkę. Kołnierz zastąpiła chustka, związana luźno na szyi, nie miał także rękawiczek, które dodawały jego wyglądowi pozory elegancyi. Nieszczęsny zwrot losu znosił ze stoicyzmem. Miejsce swoje na ławie oskarżonych zajął z miną wesołą, beztroską. Sięgnął eleganckim ruchem do kieszeni i dobył monokla, przez który zaczął uważnie przyglądać się przewodniczącemu. Skłonił się uprzejmie sprawozdawcom pism, rzucił dumne spojrzenie na niższych urzędników, a następnie zaczął lustrować publiczność. Czynił to bardzo uważnie, a ów mężczyzna z czarną brodą schował się przed tym wzrokiem w głęboki cień.

Dozorca uderzył oskarżonego po ramieniu, aby tenże zwrócił się przed siebie. Fitzgerald obrócił się, uprzejmie przepraszając.

Mały prokurator, szybki w ruchach, powstał i zagaił sesyę. Oświadczył następnie:

— Aresztowany, James Fitzgerald, właściwie William Richmond, jest oskarżony, że piętnastego bieżącego miesiąca wczesnym rankiem, między dwunastą a drugą wdarł się do posiadłości p. Ralstona Feutona „Ogrodu Wery" numer 145, z zamiarem kradzieży. Miał wspólnika, który niestety uciekł. Obaj dostali się do domu przez tylne drzwi i usiłowali zabrać naczynia srebrne i inne drogie rzeczy, znajdujące się w stołowym pokoju.

Kapitan Brett, który właśnie przebywał w domu, usłyszał hałas, zeszedł na dół i został napadnięty przez rabusiów. Przyszło prawdopodobnie do gwałtownej walki, w czasie której kapitan został tak ciężko zraniony, że jest poważnie chory, do wczoraj wieczora przytomność umysłu jeszcze mu nie wróciła.

Policyant numer 952, który owego wieczora pełnił służbę w tej dzielnicy ma potwierdzić tu następujące okoliczności: Kiedy przechodził koło domu, drzwi tegoż zostały gwałtownie otworzone, jakiś człowiek zbiegł po schodach. Na jego widok stanął i pospiesznie zawiadomił go, iż właśnie w tej chwili spełniono w tym domu morderstwo rabunkowe. Obaj weszli do domu, ów mężczyzna skorzystał jednak z ciemności i uciekł. Tymczasem mieszkańcy domu pobudzili się, w domu zrobił się ruch, a drugi złodziej zaalarmowany tem, wyszedł na korytarz z sali jadalnej, trzymając w jednej ręce torbę ze skradzionemi rzeczami, w drugiej kij gumowy. Policyant rzucił się na niego, obalił go i związał. Po bliższem zbadaniu ustalono, że dwóch ludzi dokonało włamania i ten, który zrobił doniesienie, był owym drugim wspólnikiem.

— Policyant numer 952!

Wezwany świadek stwierdził prawdziwość przedstawionych faktów, poczem dozwolono Fitzgeraldowi postawić mu ze swej strony kilka pytań.

— Proszę, opisz mi pan człowieka spotkanego na schodach — zapytał tenże.

— Było bardzo ciemno, a on zaskoczył mnie. Nie mogłem go oświetlić moją latarnią. Zdaje mi się jednak, że był mniej więcej średniego wzrostu i miał jasną brodę.

— I ten właśnie człowiek powiedział panu, że w domu dokonano rabunku?

— Tak, on.

— Dziękuję, nic więcej, — powiedział Fitzgerald, a na ustach jego pojawił się złowrogi uśmiech.

Prokurator zwrócił się z ukłonem do przewodniczącego.

Oto jest sam fakt, o ile chodzi o zbrodnię kradzieży i włamania. Wobec ciężkiego skaleczenia kapitana Bretta należałoby wnieść przeciw oskarżonemu i jego nieznanemu wspólnikowi oskarżenie o większą zbrodnię, nie omieszkamy tego zrobić, skoro w tamtej sprawie śledztwo zostanie ukończone.

— Oskarżony, — zwrócił się do Fitzgeralda przewodniczący — czy oskarżony ma coś do powiedzenia w sprawie podniesionych oskarżeń? Zwracam panu uwagę, że nie ma pan obowiązku odpowiadania, zeznania jego zostaną jednak zaprotokołowane i użyte przy dalszych rozprawach.

Fitzgerald wychylił się poza przegrodę ku sprawozdawcom i skinąwszy na nich, oświadczył:

— Zrozumiane? Proszę wszystko pisać, ani kropki nie należy opuścić. Następnie zwrócił się do prezydenta i począł mówić spokojnie, całymi zdaniami, nie tak, jak to było jego zwyczajem.

— Tak jest, panie prezesie, chcę coś powiedzieć, mam złożyć bardzo ważne zeznania. Przyznaję się do zarzuconej mi winy, nie będę jednak mówił o mnie, ale o moim współoskarżonym. Od szeregu lat ściga go policya, ale przy pomocy swej piekielnej zręczności i ofiarności swych przyjaciół i do owej nocy byłbym wszystko zrobił, aby go tylko chronić. Wynagrodził mi za to czarną niewdzięcznością. Zdradził mnie, a dzisiaj mu za to zapłacę.

Oświadczenie to oskarżonego, złożone z nadzwyczajną zimną krwią, wywołało na sali ogromne wrażenie. Sędziowie patrzyli na niego z ciekawością, sprawozdawcy, aż powstali z miejsc, aby nie stracić ani słowa, publiczność w głębi skupiła się i z napięciem oczekiwała rozwiązania dramatu. Wszczął się niepokój.

— Cicho! cicho! — nakazali woźni sądowi.

Kiedy się wszyscy uspokoili, Fitzgerald mówił dalej:

— Mój towarzysz był osobistością znaną nie tylko policyi, ale także i w towarzystwie. Pod różnymi nazwiskami i w różnych przebraniach popełnił w szeregu miejscowości kradzieże, między innymi w Glenmore, posiadłości ks. Lundy, Abbinhall, domu Artura Duranta i u właściciela ziemskiego w Hinton. Na życzenie wysokiego sądu mogę zestawić dokładny spis wszystkich znanych mi rabunków. Wiem jednak, że nie obejmie on wszystkich jego przestępstw. Człowiek ten znany jest pod różnymi nazwiskami, najczęściej jednak występował jako Arcie Dacre lub Keighley Gates.

Przez salę przeleciała znowu fala wzburzenia, a kiedy ogólne zdziwienie przeszło, Fitzgerald dodał:

— Człowiek ten dokonał szeregu zbrodni, ale o dwóch chcę tylko wspomnieć. Pod przybranem nazwiskiem Artura Duranta udał uczciwego człowieka i nakłonił lady Florence Moslyn, kobietę, którą zamordowano na Audley Street, aby opuściła dom rodzinny i poślubiła go.

Na sali zerwała się ogromna burza, następnie zapanowało grobowe milczenie.

Fitzgerald zatrzymał się chwilę, jakby namyślał się poczem zakończył:

— Teraz chcę mówić o jego największej zbrodni. Widziałem na własne oczy, jak ten człowiek zamordował swoją żonę, a za tę zbrodnię został niewinny człowiek skazany na śmierć.

Gdyby jego zamiarem było wywołać zaburzenia cel ten w zupełności osiągnął. Po niem zapanował na sali taki hałas, jakiego nie znają kroniki sądowe. Służba okazała się bezsilną w utrzymaniu porządku, tak, że prezydent kazał odprowadzić oskarżonego i zamknął posiedzenie.

Wśród hałasującego tłumu, który cisnął się ku wyjściu, znajdował się także człowiek z czarną brodą i błyskającymi zębami. Nie brał on udziału w toczących się rozmowach.

Był wyłącznie sobą zajęty. Ukrywszy głowę w ramionach, z oczami w dół spuszczonymi spieszył się, aby jak najprędzej opuścić salę sądową i znaleść się poza obrębem gmachu. Czy zobaczył on widmo? Więzienie i śmierć — oto dwa czarne cienie, które stanęły przed nim, a serce ściągnęło mu się w nagłej trwodze.

ROZDZIAŁ XXIII.

Przegrana!

Mr. Finnecure Vandeleur był bardzo wzburzony. Zainteresowanie, jakie budził „Zgubiony na pustyni Sahary" osłabło. Nawet benefis wielkiej gwiazdy, przyniósł niepowodzenie.

Mieszkał obecnie w ubogiej izdebce w pobliżu Bond Street. W kilka dni po aresztowaniu Fitzgeralda odwiedził go jeden z kolegów, pragnąc z nim spędzić wieczór. Aktor ten grywał w zespole role tragiczne, a wnikanie w takie nastroje nadało jego życiu odpowiedni charakter. Nigdy nie należał do wesołych kompanionów, nic też dziwnego, że Vandeleur nie był zbudowany jego przybyciem.

Gość rozejrzał się po pokoju i wzrok jego padł na fotografię wiszącą na ścianie.

— A! paatrzcie, miss Western! Wiesz co, Finny, mnie się zawsze zdaje, że ty umaczałeś ręce wtedy, kiedy to ona tak nagle od nas zniknęła.

Mr. Finnecure Vandeleur nie okazał gniewu z powodu tego przypuszczenia. Machnął tylko ręką niechętnie.

— Nie, nie Lortonie, na honor nie! Nie zaprzeczam, że byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale ty wiesz przecież, Dick Lambert, a ten także był moim przyjacielem. Więcej chyba nie potrzebuję ci mówić.

Lorton ściągnął usta i powiedział z teatralną pozą:

— Twoje uczucia sprawiają ci zaszczyt. Podaj dłoń, niech ci ją uścisnę.

— Nie bądź głupi, Lortonie. Siadaj, zabawimy się. Czy masz ochotę zagrać w karty?

— Najwyżej o skorupy z ostryg. Moja kieszeń jest przeraźliwie chuda, a i ty po „Saharze" nie nagromadziłeś pewnie wielkich skarbów. Może masz jakiego trzeciego gracza? Czy sam zupełnie mieszkasz w tych strasznych norach?

— W pokoiku od tyłu mieszka jeszcze jeden pasażer. Wygląda tak, jakby przed laty rozbił bank i żył jeszcze wspomnieniami.

— Sprowadź go.

— Nie mogę, idź ty. Wygląda na wielkiego mantykę, ale twoja wymowa już go zachęci. Lorton nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Wyszedł na korytarz i po dłuższej chwili powrócił z obcym.

Był to osobnik średniego wzrostu, z nieogoloną brodą i o przenikliwych oczach. Lorton przedstawił sobie obu sąsiadów:

— Mr. Mathews, pan pozwoli, że zapoznam pana z pańskim sąsiadem Mr. Finnecure Vandeleur. Pan Vandeleur — pan Mathews.

— Cieszy mnie Mr. Mathews — powiedział Vandeleur, podając mu rękę. — Nudziliśmy się obydwaj z Mr. Lortonem i spodziewamy, że pan nad nami się zlituje i będzie trzecim naszym sprzymierzeńcem.

— Karty! — powiedział obcy gość, kiedy zobaczył na stole przygotowaną paczkę. — Starzy przyjaciele! — dodał, tasując je powoli.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rocznica pierwszego zwycięstwa nad Marną: Pole walki między Chambry a Etrépilly. Groby ozdobione palmami z Cote d'Azur

Rocznica pierwszego zwycięstwa nad Marną.

Nawałniczy pochód Niemców od granic Francyi, który omal, że nie oparł się w samym Paryżu, rzucił grozę na państwa skoalizowane. Zdawało sie, że postępującą ogniem i mieczem hordę Hunnów nic już nie zdoła powstrzymać, że Niemcy teraz już nieubłaganie bagnetem zbryzganym krwią wrogów swoich w pokojach Wersalu podpiszą pokój, który ugruntuje ich imperyalistyczne wpływy na ziemiach całej Europy. Chwila była krytyczna, chwila ciężkiej atmosfery bólu i rozpaczy i ustawicznego pytania co dalej będzie i jaki koniec wszystkiego? Tego ostatniego epizodu obawiano się zapewne najwięcej, bo teraźniejszość dawała przekonanie, że wynik ten będzie straszny. Lecz nic z tego. Bohaterskie walki wojsk sprzymierzonych przekreśliły wszelkie obawy, a na kartach obecnej wojny wypisały wielki dzień zwycięstwa. To Marna i po raz drugi później Marna, która zadecydowała już o wyniku woiny. To też Francya, bo to na jej ziemiach, obchodzi rocznicę zwycięstwa z radością i dumą w sercu, w rocznicę, którą obchodzi nie Francuz, ale cała Francya.

Palmy setkami i tysiącami, wszystkie palmy z Côte d'Azur nadpłynęły do Meaux i w okolice, aby w przeszłą niedzielę uświęcić w samej katedrze i na grobach, pamiątkę piątej rocznicy pierwszego zwycięstwa nad Marną. Tych palm przyjechały trzy całe wagony z Nice, z Villefranche, z Cannes z Menton, a nawet z księstwa Monaco; przyjechały wraz z hołdami miast i skromnych gmin, przyjechała wielka ilość ogrodników, przyjechały liczne związki narodowe, zespoły starych „poilus", „à ceux tombès au champ d'honneur", „do tych, którzy padli na polu chwały" od roku 1914, aby po raz pierwszy ocalić Francyę — przyjechali wszyscy. Komitet wziął sobie za zadanie porozdzielać symboliczne palmy, a było ich dość dla wszystkich zmarłych, nawet dla tych porozpraszanych jeszcze po polach i których ubogi krzyż w ten sposób ozdobiony przybrał wygląd małego pomnika chwały.



Rocznica pierwszego zwycięstwa nad Marną: Biskup Marbeau i generał Pau.

Dzięki staraniom „Souvenir Francais" Msza za poległych w bogato ozdobionej katedrze, wśród migocących trójkolorowych barw narodowych, wśród palm zieleni, zwołała bardzo licznie zwiedzających pole walki, z pewnem pietyzmem dla miejsc pielgrzymki patryotycznej. W katedrze połączyli się wszyscy, stanęli obok siebie usuwając na bok wszelki formalizm partyjny. A więc reprezentanci władz spotkali się z członkami wyższego francuskiego duchowieństwa: kardynał Luçon, arcybiskup z Reims, który przewodniczył ceremonii, Mgr. Ginisty, biskup z Verdun, który w podniosłych słowach uświetnił pamięć poległych nad Marną, Mgr. Marbeau, biskup z Meaux; Mgr. Neveux pomocnik kardynała Luçon, Auprès de M. Noulens wysłany przez rząd, wraz z nim gen. Pean przewodniczący Czerwonego Krzyża, wielu członków parlamentu i delegacye olbrzymiej liczby stowarzyszeń.

Po południu wszyscy przedstawiciele cywilni i wojskowi wraz z duchowieństwem w ciągu tej wizytacyi miasta umarłych znowu zeszli się w Chambry, w mieście wielokrotnie zajmowanem przez wroga i z powrotem odbieranem w ciągu wielkiej bitwy, a którego cmentarz był dla naszych wojsk środkiem oparcia się w obronie ziemi; tu tyle grobów z roku 1918 i 1919. Tam Noulens i Maurice Barrès przywołali na pamięć wielkie godziny pierwszego zwycięstwa. Poczem wszyscy odbyli tę wzruszającą pielgrzymkę dalej i dalej, składając wszędzie wieńce.



Rocznica pierwszego zwycięstwa nad Marną: Poświęcenie grobów poległych żołnierzy francuskich w Chambry





Plebania w Lipowcu   **Praca w obronie kresów:**   Nowy kościół — w głębi kaplica i dom katolicki w Lipowcu.

Praca w obronie kresów.

Jak wre praca w kierunku narodowo-oświatowym w Galicyi wschodniej może posłużyć przykład

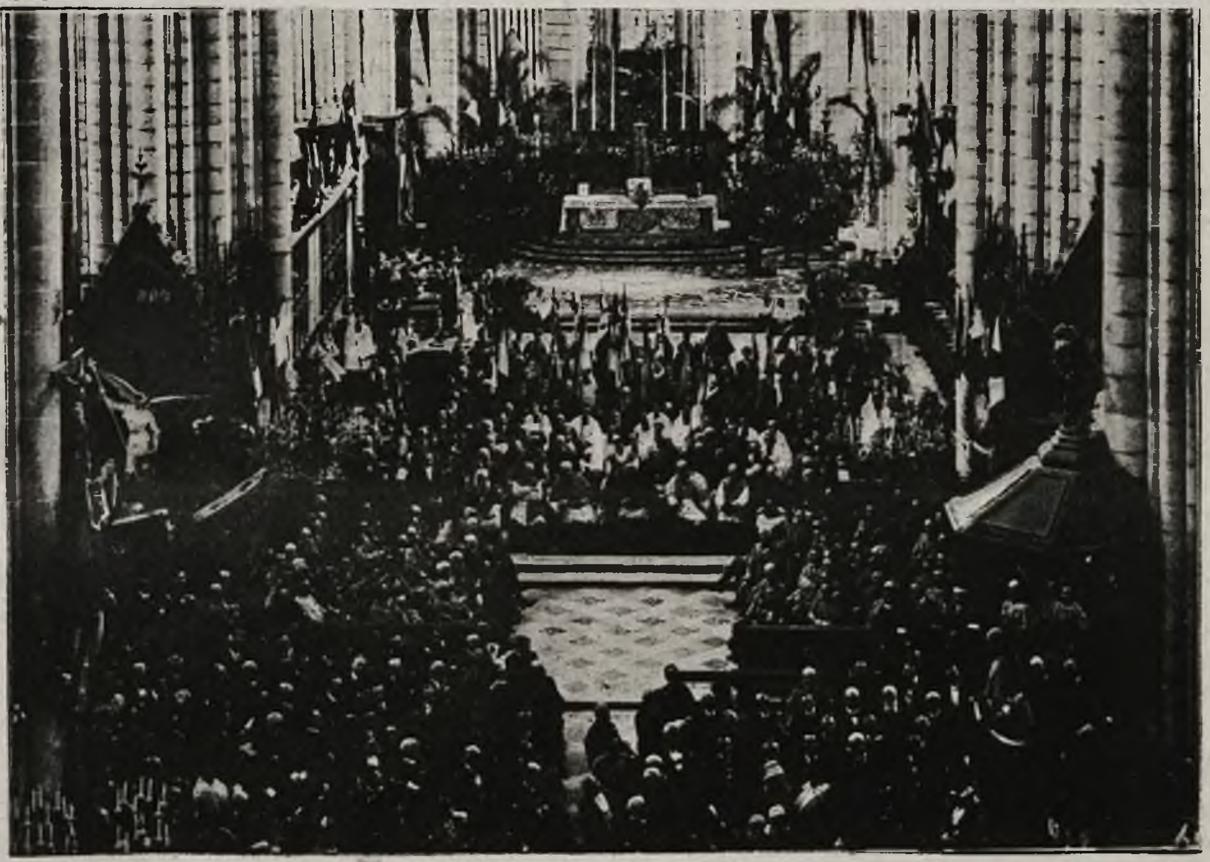


Praca w obronie kresów: Ks. Niedziałek ogląda blachę z dachu kościoła, podziurawioną kulami nieprzyjacielskiemi.

ks. Piotra Niedziałka w Lipowcu pow. Drohobyckim.

Kiedy przed laty trzema przybył ks. Niedziałek do Lipowca, zastał małą, zaledwie trzy metry w kwadrat, kapliczkę i olbrzymią karczmę, która była środowiskiem rozpusty i zepsucia.

Po trzech latach w miejscu, gdzie stała karczma, stoi dziś szkoła, ochronka, nowy kościół obok starej kaplicy, dom katolicki, budynki plebańskie, Kółko rolnicze, teatr i chór włościański.



Rocznica pierwszego zwycięstwa nad Marną: Uroczysta msza w katedrze w Meaux. Obecni książęta kościoła z całej Francyi i wojskowość.

W dniach 7. i 8. września b. r. zaprosił ks. Niedziałek krajowego instruktora ochotniczych straży pożarnych p. Józefa Srokę, który przeprowadził dwudniową naukę pożarnictwa, której rezultatem było zorganizowanie dwóch straży pożarnych, a to: w Lipowcu i Słońsku.

Praca wre energiczna i całą siłą skierowana do podniesienia kulturalno-oświatowego w Galicyi wschodniej, ale cóż wartości jej i intenzywności nie uznaje zachód, a dowodem tego postanowienie co do Galicyi wschodniej, w której zaprowadzono plebiscyt. Galicya wschodnia jednak nie zawiedzie pokładanych nadziei, a skoro nie da się pokojem jej z Polską złączyć, powiemy aby nam ją odebrano jedynie z bronią w ręku, bo ona nasza i nasz Lwów.





Straż pożarna z oddziałem sanitarno-wartowniczym w Lipowcu.   **Praca w obronie kresów:**   Grupa członków Kółka rolniczego w Lipowcu.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

10

— Pan nadzwyczajnie tańczy, panie Stanisławie. Nieoceniony z pana towarzysz... do walca!

— Pani mnie przecenia — bąknął niechętnie Mackiewicz.

Wściekły był, że dał się zaciągnąć do Boguckiej. Lecz ciągle żyjącą w nim nadzieją, że kiedyś nareszcie dojdzie do celu swoich marzeń, musiał od czasu do czasu opłacić podobnie mu niemiłemi wizytami.

— Należy nam się wszystkim krzyż zasługi — wyrzekła z ożywieniem doktorowa. — Pracowałyśmy nad siły. Nad ranem nawet dostałam nieznośnej migreny i musiałam cały następny dzień przeleżeć w łóżku. A suknia! okropność! Powiadam pani radczyni, same strzępy!

— Ja i moja Henia — odparła z pewną zjadliwością w głosie Szczurkiewiczowa — zauważyłyśmy, że tualeta pani doktorowej zwracała powszechną uwagę.

— A kosztowała mnie, jak to mówią „les yeux de la tête". No, ale trudno kochana pani, czy my możemy bawić się w oszczędność, kiedy chodzi o taki cel!

— Oh! tak, pani doktorowa ma wielką słuszność - odezwała się od ksiąg Bogucka. Poświęcać się jest naszym świętym obowiązkiem. Żadna z nas nie powinna się od tego usuwać.

— Ja i moja mama — wycedziła z powagą panna Henia — nie usuwamy się nigdy, kiedy społeczeństwo nas potrzebuje. Panie Stanisławie, nieprawdaż, jak to miło pracować dla społeczeństwa.

— Niewiem o czem pani mówi? Czy pani miała na myśli przemęczenia balowe? — zapytał ironicznie Mackiewicz.

— Ah! fi donc! — oburzyła się doktorowa. Któż o tem myśleć może! Żadna z nas nie śmiałaby się na to uskarżać. Przemęczyłyśmy się, to prawda, ale jak zajdzie potrzeba, gotowe jesteśmy znowu stanąć do apelu.

— Oczywiście — przyświadczyła kiwając głową Szczurkiewiczowa. - Ja i moja Henia jesteśmy gotowe w każdej chwili. A właśnie pani przewodnicząca wspomniała, że jest do omówienia kwestya paląca.

— Cóż takiego? — zapytała z ciekawością panna Henia.

— Chodzi o powiększenie funduszu „Stowarzyszenia miłośników przyrody".

— A więc będziemy znowu pracować w pocie czoła - ucieszyła się Henia.

— A tak, będziemy znowu pracować — odezwał się Mackiewicz. Czy tylko nie zadużo tańców w obecnych czasach?

— Nigdy za dużo! — zaprotestowała energicznie radczyni. Jestem zdania, że nie wolno nam być egoistkami w tak ważnych chwilach.

— Już po szóstej — bąknęła doktorowa, spoglądając na zegarek — a ja jeszcze mam być u krawcowej.

— Przepraszam was moje drogie panie — odezwała się Bogucka, zajęta dotąd zliczaniem jakichś długich kolumn cyfrowych. — Już skończyłam nareszcie. Ale do smutnych dochodzę wniosków. Publiczność nasza nie docenia dostatecznie gorliwych naszych zabiegów. Dochód z ostatniej zabawy jest bardzo skromny. Zaledwie kilkadziesiąt koron dostanie się naszej biednej ochronce.

— A przecież wieczór udał się doskonale — zauważyła radczyni.

— A tak, wieczór udał się doskonale — uśmiechnął się złośliwie Mackiewicz. — Strona koncertowa wypadła bez zarzutu, dzienniki podały pochlebne wzmianki, wymieniono wszystkie urocze tancerki. Tualety wzbudziły podziw!

— A więc wszystko w porządku! — oświadczyła z pewnością siebie doktorowa — oprócz kasy.

— Z egoizmem publiczności — zaczęła ostro Bogucka — walczyć musimy i na to jesteśmy przygotowane. Dobry przykład, będzie najlepszą naszą bronią. Nie zniechęcajcie się więc kochane panie! Zmusimy publiczność, aby w końcu uznała nasze zabiegi i wykorzenimy z niej samolubne myśli i ospałość do czynu.

— A jakiż był właściwie ogólny dochód z zabawy na ochronkę? - zapytała doktorowa.

— Tysiąc sześćset, siedmdziesiąt koron.

— Aż tyle! — zdziwiła się. To wcale ładnie! Więc myśmy tyle zarobiły pieniędzy... Tylko jakoś nie rozumiem, pani przewodnicząca wspomina o kilkudziesięciu koronach pozostałych...

— Pani łaskawie zapomina o kosztach? — odparł zjadliwie Mackiewicz. - Sala, światło, muzyka, kwiaty, honoraryum koncertantów, bufet!

— Ah! ten bufet — skrzywiła się doktorowa. — Przyznajcie moi państwo, że szampan był pod psem!

— Czy cały ten wieczór nie był jednem umartwieniem dla nas droga pani — westchnęła Bogucka.

— A jednak ten bufet kosztował sumy — zauważył Mackiewicz, w którego oczach zamigotały złośliwie blaski. — Jeszcze w ostatniej chwili musiałem posłać, po dziesięć butelek madery, bo wszystkie trzy panny dyrektorówny oznajmiły, że tylko takie wino piją.

— Mój drogi panie — Bogucka spojrzała na niego z góry, piorunując wzrokiem — przecież te biedne dziewczęta nie mogły pić wody z wodociągu. Tak się to nabiegało, wytańczyło!

— Ja i moja Henia — odezwała się z przekąsem radczyni — piłyśmy tylko wodę sodową z malinowym sokiem.

— A ja się wam przyznam moje panie — wypaliła doktorowa że bez dobrego szampana nie rozumiem zabawy! Podnieca on najoporniejszych!

— Człowiek najszlachetniejszy ulega różnym słabostkom - uśmiechnęła się z wyrozumiałością Bogucka. — Droga pani, kto tak, jak pani, żyje wzniosłymi ideałami i poświęceniem, ten sobie na drobne upodobania pozwolić może.

W tej chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadła uśmiechnięta Felka.

— Co tam znowu? — zapytała niechętnie Bogucka.

— Stróż przyszedł i chce koniecznie tu wejść.

— Jeżeli ma interes, niech zaczeka w kuchni.

— Kiedy on mówi, że ma do powiedzenia jednej z pań co tu jest.

Doktorowa niespokojnie poruszyła się na kanapie.

— Jednej z pań? — pochwyciła panna Henia — to niech wejdzie, nieprawdaż pani przewodnicząca?

— Niech wejdzie, tylko niech nam nie zabiera wiele czasu, bo nie skończyłyśmy jeszcze ze wszystkiem.

Po chwili ciężkimi krokami, odchrząkując wszedł stróż.

— Moje uszanowanie łaskawemu państwu — skłonił się od drzwi. Małe, chytre jego oczy biegały ciekawie po zebranych, chociaż wyraz twarzy pokorny był i dobroduszny.

— Do kogo to? — rzuciła Bogucka.

— A no, proszę wielmożnej pani mam tu liścik.

— Liścik?

— Właśnie. Ino, że tam nie stoi wypisane do kogo. Panicz mówił o jakiejś doktorowej, widzi mi się.

Doktorowa szarpnęła się tak żywo z kanapy, że wszystkie jej breloki zadzwoniły donośnie.

— Ach to do mnie! - rzekła zmieszana, podchodząc do stróża. — Pewnie od brata. Dawajcie moi kochani.

Stróż przestąpił z nogi na nogę i uśmiechnął się chytrze.

— Ja tam nie wiem, czy brat, czy co innego, ino wiem, że się doczekać nie może niebożątko. bo przebierał nóżkami, jak panna w tańcu. A mróz tam siarczysty na takie pańskie lakierki.

— No, dobrze, już dobrze - odparła doktorowa coraz bardziej zmieszana i niezadowolona. — Idźcie i powiedzcie, że zaraz schodzę.

— To niech już łaskawa pani ze mną idzie — nalegał stróż, który za swoją usłużność musiał być dobrze wynagrodzony — bo ja tak dobrze znam to „zaraz" naszych paniów krakowskich. A szkoda tego brata trzymać na mrozie — dodał łypiąc szelmowsko oczami — bo panicz z niego wcale fajny, a taki niecierpliwy, że...

W doktorowej już złość zakipiała.

— Moi kochani — rzuciła ostro — idźcie już nareszcie i powiedzcie tak, jak kazałam.

— A no, to moje uszanowanie szanownemu towarzystwu — oglądając się i ociągając wyszedł w końcu mrucząc coś jeszcze pod nosem.

Po odejściu stróża zaległo w pokoju nieprzyjemne milczenie.

— To pani doktorowa ma brata — zdziwiła się zjadliwie Henia przeszywając młodą kobietę przenikliwem spojrzeniem niewielkich szarych oczu.

Doktorowa wzruszyła ramionami niecierpliwie. Pragnęła jaknajprędzej wydostać się stąd i uniknąć niemiłego badania.

— Cóż w tem dziwnego? — odparła sucho, wytrzymując spojrzenie panny Heni. — Przecież prawie wszystkie z nas mamy braci.

Bogucka nad podziw zręcznie zoryentowała się w sytuacyi

— Natychmiast panią uwolnimy, kochana pani. Pragnę tylko usłyszeć zdanie pań w pewnej kwestyi. Chcę bowiem zaprowadzić gorliwą akcyę w celu powiększenia funduszów naszego stowarzyszenia. Może na ten raz udamy się do zbiórki ulicznej, do kwiatka.

— Pozwolę sobie zauważyć — wtrącił się Mackiewicz, że publiczność zaczyna bardzo sarkać na dnie kwiatków.

Bogucka uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Mój drogi panie, publiczność w tym wypadku nie ma głosu!

— Oczywiście! oczywiście! — poświadczyła Szczurkiewiczowa z wielką powagą.

— Nas nie może obchodzić co się jej podoba lub nie — ciągnęła dalej Bogucka, zapalając się. A więc zgadzacie się panie na dzień kwiatka?

— Naturalnie! — odezwały się chórem wszystkie.

— Doskonale. Zechcą więc panie się tem zająć w najkrótszym czasie.

— Choćby od jutra! — ofiarowała się niezmordowana panna Henia.

— Ale à propos — przypomniała sobie jeszcze Bogucka. — Musimy panią Zarnicką wykreślić absolutnie z listy naszych członków.

— A to dlaczego? — zapytała doktorowa.

— Rozeszła się z mężem i widziano ją kiedyś w kawiarni w towarzystwie paru mężczyzn. Nie możemy pozwolić, aby opinia naszego Stowarzyszenia cierpiała przez winę jednej, nienormalnej jednostki.

— Ah! co pani mówi! to doprawdy okropne! — oburzyła się Szczurkiewiczowa.

— Przypominam jednak — wycedziła doktorowa z naciskiem, że Zarnicka niejednokrotnie poważniejszemi kwotami zasilała naszą kasę. Zdaje mi się, że powinno to być wzięte pod uwagę.

Słowa te podziałały oziębiająco na Bogucką.

— Czy tylko pani tego pewna — wyrzekła po chwili namysłu. — Bo ja rzeczywiście nie przypominam sobie... musiałabym zajrzeć do ksiąg, rachunków...

— Pamiętam bardzo dobrze, że Zarnicka na nowy rok wsparła ochronki nasze kilkoma tysiącami koron.

— Doprawdy? Ah! to zmienia postać rzeczy oczywiście, bo skoro chodzi o nasz cel.

— Uwaga pani doktorowej jest zupełnie słuszna — wystąpił Mackiewicz. — Pani Zarnicka czyni wiele dla naszych instytucyi.

— W takim razie jej prywatne życie nie może nas obchodzić — zawyrokowała Bogucka. Bardzo jestem pani wdzięczna za to przypomnienie.

Doktorowa korzystając z zakończonej dysputy już zamierzała się pożegnać i skierować do drzwi, kiedy do pokoju wbiegła nagle Janka.

Znać było na jej pobladłej twarzy wielki niepokój i pomieszanie. Nie zwracając uwagi na towarzystwo, zawołała zmienionym drżącym głosem:

— Nie było tu Isi?

Bogucka spiorunowała ją surowym wzrokiem.

— Isi? Nie, nie było! Ale co znaczy to pytanie Janko? Przedewszystkiem jednak, może zechcesz się przywitać z paniami.

Janka skinęła pospiesznie głową, tak, jakby nie zauważyła dotąd, że matka nie była sama i powtórzyła z osłupieniem:

— Więc Isi tu nie było?

— Nie rozumiem cię zupełnie, moja kochana, o co ci chodzi właściwie? — zapytała Bogucka z niecierpliwieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tanki a turystyka alpejska.

Potrzeby wojenne popchnęły myśl ludzką na drogę tysiąca udogodnień w zakresie techniki i inżynieryi. Rozmaite, świeżo skonstruowane maszyny udogodniły niszczycielską pracę człowieka, dając mu w rękę coraz więcej środków w tym kierunku. Obecnie, kiedy wojna w niektórych państwach została zastanowioną, wszelkie maszyny straciły swoją wartość wojskową i dlatego stara się je użyć do prywatnych potrzeb. Tak z tankami. O ile liczne i różnego systemu automobile znalazły łatwe zastosowanie, o tyle tanki, zdawało się, nigdzie nie będą mogły być użyte. Tymczasem przeciwnie. Tanki okazały się ogromnie użytecznymi w turystyce. Mając tę właściwość, że gdzie tylko zęby kół chwycą mogą się bez względu na przeszkody posuwać, mogły równie dobrze wspinać się na znaczne wyniosłości. Próby przedsięwzięte przyniosły rezultat nadzwyczajny. Tanki mogły być doskonale użyte jako środek komunikacyjny ze znacznemi wyniosłościami. Przestrzeń o wspięciu 1800 metrów przy 70% nachyleniu wózkiem ciągnionym przez najsilniejszego osła może być jedynie z wielkim trudem przedsięwzięta, przyczem co 40 metrów musi się odpoczywać. Ciężar w ten sposób transportowany jest oczywiście bardzo mały. Tymczasem tank może ją z wszelką łatwością przebyć w dwóch godzinach przy 18 litrowem zużyciu esencyi potrzebnej do poruszania motoru, mając równocześnie siłę transportowania 300 kg. ciężaru, albo kilkanaście osób, nie pociągając za sobą żadnego niebezpieczeństwa, przy zstępowaniu z tak znacznego pochylenia góry.



Tanki a turystyka alpejska: Wycieczka tankami.

Na plaży.

Upał — słońce całuje gorącemi promieniami piasek nadbrzeżny, a fale morza zmywają z piaszczystych brzegów nagromadzone żyjątka morskie: muszle i kraby. Panie i panowie w pięknych kostyumach kąpielowych pląsają na plaży i zabawiają się swawolną gonitwą, lub wziąwszy się za ręce, skaczą w morzu, a lekkie, pieniące się fale muskają ich nogi. Zabawa śmiech pusty, i beztroska panuje wszechwładnie, jakgdyby nie było smutku na świecie. Na to mogą sobie w obecnych czasach pozwolić ludzie zamożni z urodzenia, lub bogacze wojenni, których się pojawiły całe rzesze we wszystkich krajach Europy. Zdobyli miliony, może cudzą krzywdą i rzucają tysiącami by pokazać, jak się potrafią zabawiać „dorobkiewicze" wojenni. Tak wygląda obecnie każde miejsce kąpielowe nadmorskie. Wre tam życie, jak te spienione fale morskie, zdaje się, że świat jest pełen szczęścia, pełen radości. A jednak tak nie jest. Gdy się bowiem zaglądnie w szersze warstwy społeczeństw — widzi się nędzę, ból i troskę o byt.



Na plaży: Zabawy w słońcu.



Na plaży: Igraszki i zabawy wśród fal morskich.

Kronika tygodniowa.

Załatwiwszy się w poprzedniej kronice ze szkołami, choć jeszcze nie tak, jak chciałem, gdyż na przeszkodzie stanął mi brak miejsca, dziś zabiorę się do polityki, aby ktoś nie narzekał, że tą dziedzinę traktuję po macoszemu, gdy ja dla wszystkich radbym być ojcem lub matką.

Zanim jednak do tego przystąpię, kilka słów radbym poświęcić pogodzie, już choćby tylko dlatego, aby się pochwalić, że miałem racyę, przypuszczając i zapowiadając, że pierwsza polska jesień, na złość wszystkim naszym wrogom, musi być i długa i piękna.

Jak dotąd, jest tak, jak będzie później, dopiero się z dalszego ciągu przekonamy.

Ja więc, choć meteorologiem nie jestem, nie pomyliłem się bynajmniej, teraz kolej na górali, aby i oni dowiedli swej nieomylności, chcęby tylko w kwestyi pogody i temperatury. Jeden z mych znajomych, który, lubo nie jest paskarzem, może sobie na to pozwolić, aby lato spędzić w Zakopanem, wróciwszy stamtąd, opowiadał wszem wobec i każdemu z osobna, że górale zapowiadają, iż tego roku nie będzie zimy, a wnoszą to z braku grzybów, choć deszczu było aż zadużo. Ponieważ zaś góralskie przepowiednie, o ile one odnoszą się do pogody lub temperatury, przynajmniej dawniej lubiły się spełniać, mam nadzieję, że i w tym wypadku będzie tak, jak orzekli i że nam w zimowym czasie nie grozi śmierć z zamarznięcia.

Najgorzej jednak, że dowiedział się o tem i magistrat, który wobec tego wstrzymał wydawanie kar tek na węgle, bo i cóż komu po nich, skoro zimy nie będzie?... Biuro węglowe ma dla zgłaszających się stereotypową odpowiedź:

— Tego roku zimy nie będzie!... Tak przepowiedzieli górale, a oni się nigdy nie mylą!... Wobec tego proszę się zgłosić w roku przyszłym.

— A jeśli w międzyczasie zamarznę na śmierć? — pyta interesowany.

— Hm!... W takim razie sam pan sobie będzie musiał przypisać winę!... Ale niech pan tego głupstwa nie robi, bo to i chorować się nie opłaci, a cóż dopiero umierać!

Spodziewamy się więc, że i bez węgli będzie nam ciepło, a czy się nie mylimy, to dopiero przyszłość pokaże. W każdym razie byłoby bardzo pożądanem, aby góralska nieomylność wyszła z tej próby bez szwanku.

Korzystając z pogody, która przecież od czasu do czasu była przerywana deszczem, aby oszczędzić magistratowi kosztów skrapiania ulic, bardzo liczne rzesze pobożnych i spragnionych sielanki wybrały się na doroczny odpust do Mogiły, rozpoczynający się w dniu 14. września, a trwający ośm dni.

Zwłaszcza w obie niedziele, 14. i 21. września, pogoda była po prostu wymarzona i gdyby nie to, że dziś wycieczka każda połączona jest z nadmiernymi kosztami, na co nie każdy może sobie pozwolić, z pewnością byłoby w Mogile tego roku dwa razy więcej pątników, niż po inne lata.

Tradycya starego Krakowa powiada, że pierwszą wycieczkę w roku urządza się w drugie święto Wielkiejnocy (Emaus) na Sikornik, potem idzie kolej na Skałkę, Bielany, Tyniec (uroczystość św. Piotra i Pawła), w sierpniu dla pobożniejszych Kalwarya, we wrześniu Mogiła, kończy zaś wybranie się na cmentarz rakowicki, ale nie karawanem, lecz piechotą lub tramwajem (choć tam jeszcze nie dochodzi) w dzień Zaduszny.

Zwłaszcza Bielany i Mogiła cieszyły się zawsze nadzwyczajną frekwencyą. Furkami, dorożkami i piechotą wybierały się całe rodziny, zaopatrzone w odpowiedni prowiant stały i płynny, a świeże powietrze miało się zupełnie *gratis* na miejscu. Ale też wówczas wypchać kosz różnymi specyałami, to nie była żadna sztuka, a dorożka na całe popołudnie kosztowała zaledwie piątkę. Raz lub dwa razy w roku można się było szarpnąć na podobny wydatek, zwłaszcza, że on się i opłacił nieraz, gdyż tutaj, na łonie przyrody, robiło się i znajomości, co było pożądanem zwłaszcza dla rodzin, mających córki na wydaniu.

Szklanką herbaty i kromką chleba z masłem i zimną pieczonią, czasem udkiem niewinnego kurczaka, zdobywało się serce młodziana i kojarzyło nieraz i bardzo szczęśliwe stadła małżeńskie.

Dziś jednak zmieniły się czasy, a z nimi i ludzie. Dzisiejszemu pokoleniu młodemu nie wystarczy Mogiła, ono woli Esplanadę, lub bodaj... kino.

Ale i do Mogiły wybrać się dziś nie tak łatwo, choć kolej żelazna prowadzi na na samo miejsce, nie mówiąc już o dorożce, za którą trzeba zapłacić trzysta koron, lub podróży piechotą, nie wskazanej bynajmniej ze względu na drożyznę obuwia.

Bo i jak się tu wybrać, choć jest jeszcze ten sam kosz, z którym takie miłe się wiążą wspomnienia!... Ile razy odbył on drogę z Krakowa na Bielany, lub do Mogiły!... W tamtą stronę jechał dumny, wiedząc, że od niego zależy dobra zabawa, wracał zadowolony, że wywiązał się należycie ze swego zadania. Był też okiem w głowie całej rodziny, pożądliwie nań spoglądali znajomi i przyjaciele, którzy zerwali z tradycyą i przyjechali bez zapasów, wierząc, że nie zamarła w społeczeństwie naszem staropolska cnota gościnności.

Kosz więc jest, ale co w nim ulokować?... Oto kwestya, którą trudniej rozwiązać, niż problem *perpetuum mobile*, lub kwadraturę koła!... A żołądek, zwłaszcza na świeżem powietrzu, upomina się o swe prawa i powiada cicho a dyskretnie:

— Pokrzepiłeś swego pobożnego ducha, teraz pamiętaj i o mnie, który dbam o zdrowie tego interesu, mającego być siedzibą ducha!

I ten brak treści, którą można byłoby wypełnić obszerne wnętrze kosza, stał się przyczyną, że trzeba było zrezygnować z pobożnego przedsięwzięcia i zostać w Krakowie. Bo to nie żarty co się tam zmieści!... O tem może powiedzieć każda skrzętna gospodyni.

Według pobieżnych obliczeń, w dzisiejszych czasach taka wycieczka do Mogiły mogłaby kosztować co najmniej ze dwa tysiące pięćset koron, a na to nie pozwala siła finansowa poszczególnych rodzin.

Wspominało się więc dawne czasy i zastanawiało nad tem, czy danem będzie jeszcze przed śmiercią wybrać się w pielgrzymkę do Mogiły, ale tylko z należycie wyładowarym koszem, by mieć czem pokrzepić mdłe ciało, wyczerpane trudami podróży.

W związku z pogodą, od której zacząłem, a częściowo i polityką, do której przejść zamierzam (jeśli nie w tym numerze, to bodaj w następnym...), jest kwestya rachuby czasu. Jak dotąd, mamy czas letni, wcześniejszy o godzinę od środkowo-europejskiego, więc potępiany przez tych, którzy lubią się długo wylegiwać.

Wczesne wstawanie jest wprawdzie godnem polecenia już choćby tylko ze względu na przysłowie: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje"... ale bynajmniej nie przyczynia się do zaoszczędzenia gazu lub elektryki. Idzie się wprawdzie spać o godzinę wcześniej, ale też wstaje się wcześniej i jeśli się ma coś rano załatwić, musi się to uczynić przy sztucznem świetle, bo naturalne nie wystarcza. O oszczędności niema więc mowy, o wygodzie także, zwłaszcza, jeżeli się chce zjeść śniadanie przed wyjściem z domu.

Wołają więc jedni, aby jak najrychlej zaprowadzić dawny czas środkowo europejski, łączący nas z kulturalnym Zachodem, gdy natomiast inni, u nająćy, że nasza ekspanzya powinna iść na Wschód, są zdania, że powinniśmy zostać raczej na stałe przy letnim, którym się posługują państwa wschodnie. A zbliżenie się do nich, leży w naszym dobrze zrozumianym interesie.

Nie mamy granic, nie mamy konstytucyi, nie mamy też i czasu (bez którego zresztą łatwo się obejść, jak twierdzą ci, którzy nie mają zegarka...)

Ale i granice będą i konstytucya będzie, więc można się postarać i o czas.

Ponieważ spór o rachubę czasu wiodą dwa obozy, znalazł się wnet i trzeci, chcący je pogodzić. Tworzą go polscy astronomowie, którzy oświadczyli, że Polska może się zdobyć na swój własny czas, obliczony według południka, przechodzącego akurat przez sam Przeworsk, co przyczyniłoby się do podniesienia znaczenia tego miasta, o którem wiedzieliśmy dotąd, że ma fabrykę cukru, ale w stanie spoczynku, a leży niedaleko Łańcuta, gdzie popełniono milionową defraudacyę spirytusową na szkodę skarbu państwa polskiego.

Mamy więc stolicę Polski w Warszawie, byłą stolicę w Krakowie, letnią w Zakopanem, przybyłaby nowa, nazwana już „zegarową" w Przeworsku.

I myślałby kto może, że to sprawa łatwa do przeprowadzenia?... Broń Boże!

Zaraz sąsiad Łańcut zawoła:

— A cóż ja to jestem gorszego, że wybrano sobie południk przeworski?... O Przeworsku nikt nie słyszał, a łańcuckie wódki znane były w całym świecie!... Choć wyrabiał je hrabia, cieszyły się one ogromnymi względami zwłaszcza demokratów!

To samo powtarza Jarosław, Rzeszów, Przemyśl, Mielec, Kolbuszowa, Tarnobrzeg, Nisko, Rozwadów... Każde z nich gotowe bezinteresownie oddać swój południk na usługi społeczeństwu, byle tylko mówiono o niem, jak dotąd o Ferro, Greenwich, Paryżu .. Astronomowie powiadają wprawdzie, że nie każdy południk nadaje się do tego celu, co jednak nie jest w stanie przekonać pana burmistrza z jakiej Pipidówki, utrzymującego:

— Trzeba tylko chcieć!... Niech kosztuje, co chce, ale niech będzie nasz południk... Ja tam człowiek stary daty i wiem, że, jak się da, to się zrobi!... A od dania, to już jestem ja!...

Powstały u nas różne wojenne instytucye, między innemi i *Zakład obrotu ziemią*, mający jakiś związek z reformą agrarną. Ponieważ na razie nie ma on nic jeszcze do roboty, albo bardzo mało, mógłby się zająć reformą rachuby czasu, zależnego, jak wiadomo, od obrotu ziemi. Kłócimy się o wszystko, pogódźmy się bodaj w kwestyi zegarowej i niechaj sobie będzie i czas przeworski, byle był i nie sprawiał nam tyle kłopotu, co przeworski cukier, dlatego właśnie, że powinien być, a tymczasem go niema!

Kronikarz w astronoma się nie bawi, czego dowodem, że nawet na gwiazdkach wojskowych wyznać się dziś nie umie, nie mówiąc już o tych, które błyszczą na niebie. W kwestyi zegarowej nie zabiera też decydującego głosu, zwłaszcza, że czasomierza nie posiada. Jeśliby kto z P. T. Czytelników chciał go obdarzyć zegarkiem zupełnie nu wszystko jedno, czy będzie uregulowany po zachodnio europejsku, czy po wschodnio, czy też według przeworskiego południka — przyjmie go z wdzięcznością, która będzie tem większą, im zegarek będzie bardziej wartościowy.

W każdym razie byłoby bardzo pięknie, gdybyśmy posiadali swój własny czas, niechajby nawet taki, aby północ wypadła w południe, a południe o północy... I do takiej rachuby czasu można się przyzwyczaić, zwłaszcza, że bardzo wielu ludzi urządza się w ten sposób, iż śpią w dzień, a życie zaczynają dopiero w nocy, gdzieś po godzinie ośmnastej według południka... przeworskiego.

O ile sprawa rachuby czasu zostanie definitywnie rozstrzygniętą, byłoby wskazanem, aby Rząd zaopatrzył wszystkich obywateli w zegarki, odpowiednio uregulowane, co się przyczyni do załatwienia sprawy w sposób bardzo krótki i praktyczny. Co zaś najważniejsze, zgodzą się z pewnością na to wszystkie stronnictwa.

Sejm warszawski pewnie też załatwi sprawę zegarową w tym duchu.

Sprawę rozstrzygnęło już wprawdzie rozporządzenie ministeryalne z 16 września b. r., ogłoszone onegdaj w *Monitorze polskim*, a zaprowadzające w całej Polsce na stałe czas letni, co ma zapobiedz także brakowi węgli. Jakże bowiem narzekać na zimno, jeśli czas jest letni?

Zwolennicy czasu środkowo-europejskiego i przeworskiego, będą mogli wnieść w Sejmie odpowiednie interpelacye i nagłe wnioski. Przy tej sposobności może ktoś poruszy i kwestyę zaopatrzenia najszerszych mas w zegarki, aby każdy mógł w myśl rozporządzenia ministeryalnego posunąć wskazówki na swym własnym chronometrze.

Rachuba czasu z polityką ma więc tylko bardzo luźny związek, ale w każdym razie ma go, może więc stanowić przejście od pogody do polityki, choć na nią zbyt wiele nie zostało miejsca.

Im jej jednak mniej, tem lepiej, bo nie trzeba się niepotrzebnie irytować, a gniew szkodzi nie tylko piękności, ale źle wpływa i na zdrowie. Zresztą polityki ma każdy dość w pismach codziennych, kronikarz tygodniowy mógłby zupełnie spokojnie przejść nad nią do porządku dziennego.

Ale, słowo się stało!...

Najważniejszem zdarzeniem politycznem z ostatniego tygodnia był odjazd amerykańsko-żydowskiej misyi senatora Morgenthaua, który na czas „Trąbek" udał się do Paryża, a stamtąd wróci do Ameryki i zjawienie się nowej misyi, tym razem angielsko-żydowskiej, pod kierownictwem pana Eliasza Samuela.

Pana tego nie mam przyjemności znać i dlatego nie wiem jak się właściwie nazywa. Jedni piszą Samuel drudzy Samuels, inni znowu Samuely, wszyscy jednak zgadzają się na to, że jest z zawodu bankierem, a był członkiem angielskiego parlamentu skąd go jednak „wylano", udowodniwszy mu korupcyę, co każe żywić nadzieję, że zabierze się bezstronnie do zbadania sprawy żydowskiej w Polsce z angielskiego punktu widzenia. Jest to podobno wzór pobożności. Jada tylko koszerne potrawy, w sobotę chodzi piechotą, w rodzinie jego nikt dotąd nie popełnił mezaliansu. Syonişci spodziewają się też, że energicznie zabierze się do dzieła i stwierdzi, jak oni tutaj muszą cierpieć.

Poważne pisma angielskie, jak *Morning Post* twierdzą zupełnie słusznie, że wysyłanie podobnych misyi do Polski jest tylko niepotrzebną prowokacyą, zupełnie taką, jaką byłoby wysłanie murzyna do Stanów Zjednoczonych, aby zbadał położenie tamtejszych swych braci, a my dodamy... lub Irlandczyka do Anglii, a Hindusa do Indyi... Wyobrażamy sobie, jakiego gwałtu narobiłby wówczas Amerykanie i Anglicy.

Ale w polityce na przywzoitość nikt nie zważa, Polacy zaś znani są z tego, że pierwszemu lepszemu przybłędzie pozwalają wtrącać się w swoje domowe sprawy i jeszcze go do tego honorują, choć raczej należałoby go z miejsca napędzić na cztery wiatry.

Morgenthau podobno pochwalił nas za ład i porządek, jakiego się w Polsce nie spodziewał znaleść. Co powie pan Samuel, nie wiadomo, ale to pewne, że przyjechał, aby szukać dziury na całem.





Ze sceny i estrady:

Wspaniałe dekoracye w operetce „Księżniczka Trebizondy" wystawionej w Teatrze Powszechnym w Krakowie.

Scena zbiorowa w „Księżniczce Trebizondy", granej z wielkiem powodzeniem w Teatrze Powszechnym w Krakowie.

Ze sceny i estrady.

Pierwszą premierą operetkową w Teatrze Powszechnym w sezonie obecnym była wystawiona



Ze sceny i estrady: Romuald Rebczyński.

15. b. m. świetna satyra i groteska muzyczna nieśmiertelnego Offenbacha, „Księżniczka Trebizondy". Wystawieniem tego pięknego, a prawie zupełnie Krakowowi nieznanego utworu, dała dyrekcya dowód, że wierna artystycznemu swemu programowi, chce dawać publiczności pełną wykwintnego smaku i niepospolitą zawsze pod względem muzycznym operetkę dawniejszą szczególnie francuską, ażeby teatr, powierzony tak cennemu i coraz bardziej zasłużonemu z każdym dniem kierownictwu p. Jarnińskiego i Wiśniowskiego i na tem polu stanął na wysokim poziomie artystycznym.

Przewinęły się już przed naszemi oczami świetnie wystawione utwory operetkowe, ostatnio zaś „Księżniczka Trebizondy". Cieszymy się też bardzo na dalsze ogniwa wielkiego łańcucha retrospekcyi operetki dziś już klasycznej w Teatrze Powszechnym tem więcej, że dla Krakowa są to po największej części nowości prawie zupełne. Każde z tych dzieł, szczególnie ostatnie, jest skończenie artystycznie i bogato wystawione. Takiej ślicznej n. p. wystawy, tak pięknych dekoracyi i kostyumów, jak na „Księżniczce Trebizondy" nie widziało się jeszcze w Teatrze Powszechnym. Gra artystów, świetnego zawsze reżysera sztuki p. Lelewicza, niezrównanej p. Zimajer, imponującego stale pod względem wokalnym p. Millera i pełnego brawury i żywiołowego humoru p. Minowicza, oraz wybornie ucharakteryzowanego na Wilhelma II. p. Kalinowskiego, miłe, pełne uroku kreacye p. Korabianki, Stadnickiej, przedewszystkiem zaś doskonale usposobionej p. Harasimowiczówny — zapewniły operetce sukces niecodzienny. Wyborny, szlachetniejący z każdą chwilą chór, wytworne tańce p. Koszutskich i Merlińskiej, doskonale spisująca się orkiestra pod batutą kapelmistrza p. Leszczyńskiego — zapewnią „Księżniczce Trebizondy" bardzo trwały żywot sceniczny.

* * *

Po zdrojowiskach polskich urządzili tournee artystyczne p. Romuald Rebczyński, artysta śpiewak opery medyalońskiej i dr. Bronisław Feller, artysta deklamator. „Koncert pieśni i poezyi" odznaczał się nader korzystnie stylowym programem i osobami wykonawców. P. Rebczyński rozporządzający silnym



Ze sceny i estrady: Dr. Bronisław Feller.

głosem, techniką wzorową szkoły włoskiej, zachwycał wszystkich. Deklamacya poezyi Konopnickiej, Wyspiańskiego, Tetmajera, wykonana przez p. Fellera, niezwykle się podobała doborowej publiczności, która tłumnie uczęszczała na wieczory urządzane przez pp. Rebczyńskiego i Fellera w naszych zdrojowiskach, nagradzając koncertantów oklaskami.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył J. Nowakowski, Przemyśl.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko osobistości znienawidzonej na całym Górnym Śląsku.

O — io
G — the
I — an
O — man
N — da
I — dus
I — or.

Grzebieniówka.
Ułożył Polityk z nad Rudawy.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda modny obecnie sposób rozwiązywania sporów międzynarodowych.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1) Wspaniały budynek. 2) Kraj w Afryce. 3) Jezioro w Europie.) Rabin cudotwórca. 5) Drogi kamień.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Kowalski, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć nazwę miejsca zamieszkania poszczególnych osób.

IWO AD. WEC.

AZ. O. PANEK.

ZOE. I. CEKIN.

AD. MOR.

W. KROWKA.

Równanie.
Ułożył X. Y., Kraków.

Każdy wyraz ma mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego wyjąć jedną sylabę, a oba równania podadzą problem, którym się zajmował Sejm polski.

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{3} + \frac{c}{2} = x.$$
$$\frac{m}{2} + \frac{n}{3} = y$$

Znaczenie wyrazów: a) Półwysep w Azyi. b) Imię męskie. c) Elegancka kobieta. m) Imię męskie. n) Miasteczko w Palestynie.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył A. B., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich liter uzupełnić podane wyrazy. Litery te, czytane z góry na dół podadzą ważne zarządzenie koalicyi w sprawie polsko-czeskiej.

— ora
— ena
— bro
— eta
— gor
— ola
— yna
— ork
— ama
— ino
— era
— kwa
— mil
— owa
— ama
— ard
— icl
— ran
— gon.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył Jaś z nad Wisły.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
a, a, b, c, c, j, j, k, o, o, o, r, t, y, z.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Ocean (książka), 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 38.

Okienko. Kulig, Luter, goryl.

Zadanie do uzupełnienia. Soła, opal, Bari, Omar, Lena, Ezaw, waza, siła, kara, Igor.

Łamigłówka. Kara Mustafa.

Logogryf. S, Zan, i, Inn, t, aga, len, era, komar, brama, cis, sanna.

Zadanie do uzupełnienia.

„Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy..."

Kwadrat magiczny. Newa, emir, wino, Aron.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Malinowska Kraków, H. Gawlik Tarnów, J. Jakubowski Nowy Sącz, S. Sarnowski Lwów, K. Gorecki Warszawa, M. Zaleska Kraków, H Wierzbicka Lwów, J Wilczyński Sanok, R. Kinalski Kraków, M. Pankiewicz Jasło, H. Bańkowski Lwów, W. Zawadzki Piotrków, S. Krzyżanowski Kraków, J. Jasiński Krosno. M. Ogibiński Rzeszów, J. Jaworski Lwów, S. Kamiński Sambor, J Wieczyński Zakopane, F. Jamiński Kraków, B. Siewarga Bochnia, S. Kalczyński Jordanów, M. Mańkowska Lwów, M. Zak Wadowice, J. Opolski Sanok, M. Dworzańska Stanisławów, J. Gomulka Lwów, S. Jachowski Warszawa, S. Samlicki Kraków, E. Dembiński Sandomierz, S. Sokołowski Zakopane, J. Ostrowski Tarnów, Z. Lipski Wiedeń, M. Sperling Kraków, J. Pogorzelski Lwów, H. Obst Lwów, K. Bernatowicz Wadowice, M. Radziszewski Kraków, H. König Lwów, S. Gajewski Poznań, J. Fischer Kraków, H. Bandrowska Częstochowa, L. Kołodziejski Warszawa, J. Kwaśniewski Przemyśl, S. Kalinowski Warszawa, J. Więckowski Lwów, M. Grochowski Tarnów, Z. Roseabaum Rzeszów, J. Dziedzic Warszawa, S. Balicki Lwów, M. Sroka Rzeszów, Z. Sitowski Kraków, M Marynowicz Lwów, I. Brzestowski Chrzanów, J. Antoniewicz Lwów, M. Lange Rozwadów, J. Filipkiewicz Sanok, M. Karaś Lwów, Z. Mroczkowska Przemyśl, J. Ogrodnik Jasło, C. Górny Limanowa, Cz. Kozłowski Oświęcim, W. Smiszkiewicz Milówka, S. Międlarówna Rzeszów, K. Lepszy Kraków, H. Wereszczyński Lwów, ks. L. Łękawa Łukawica, E Chowaniec Dziedzice, J. Misiewiczowa Piątkowice, A. Siemek Kraków, J. Juszczyk Kraków, ks. J. Welc Sanok, S. Golczewski Kraków, J. Walczewski Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) H. König Lwów (książka) 2) K. Lepszy Kraków (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.